

## część 1

Od zawsze miałem bardzo dobrą pamięć i nigdy nie było to tajemnicą dla mojej rodziny i znajomych. Na różnego rodzaju przyjęciach świątecznych czy innych imienninach matka z ojcem zawsze opowiadają gościom przeróżne historyjki z mojego dzieciństwa, żeby się tą moją pamięcią pochwalić. Mówią na przykład, że recytowałem im wierszyki, których nasłuchałem się w przedszkolu, albo że oglądając z tatą dowolny mecz Ligi Mistrzów, przedstawiałem nazwisko po nazwisku wszystkich zawodników obu drużyn wraz z ławką rezerwowych i trenerami, zanim komentator zdążył się w ogóle przywitać. Po paru głębszych te opowiastki zawsze kończą się ich ulubionym żartem – że potrafię odtworzyć wspomnienie własnych narodzin. To oczywiście niedorzeczne, więc wybucham wtedy śmiechem wraz z całą ochającą i achającą rodzinką, ale jeśli mam być szczerzy, to kiedy pięć minut później oni rozmawiają już na zupełnie inne tematy, ja kończę właśnie myśleć o zielonych oczach lekarza, który odbierał poród, i słodkim zapachu długich blond włosów pielęgniarki, która przemyśla mnie i wrzeszczącego wniebogłosy

podawała mamie. W momencie gdy na stół trafia ciasto, jestem już na etapie wspomnień moich pierwszych dni spędzonych w kawalerce na Targówku, gdzie mieszkałem do drugiego roku życia. Gnieździliśmy się tam w szaroburym pokoju z farbą łuszczącą się na odpadających tynkach, zaopatrzonym w stary, powycierany tapczan i małe, drewniane łóżeczko, które dziadkowie przywieźli rodzicom w prezencie tydzień po moich narodzinach. Oprócz tego znajdowała się tam szafa, kredens, parę szafek oraz lustro w grubej, obrzydliwej, metalowej ramie. Pokój łączony był z kuchnią, w której stała przedpotopowa kuchenka z dwoma gazowymi palnikami, lodówka z drzwiczkami mocowanymi na sznurek, bo się samoczynnie otwierały, mały plastikowy stolik i dwa, również plastikowe, taborety. Nie było zlewu – mama myła gary w misce napełnianej wodą w tyciej łazieneczce, pomieszczeniu, które lubiłem najbardziej. Na jednej ze ścian wisiało przepiękne, stare, czarno-białe zdjęcie kobiety w stroju kąpielowym, trzymającej na rękach małego pieska – jedyny obiekt, na którym warto było w naszym mieszkaniu zawiesić oko. Do dziś zastanawiam się, co ta fotka robiła nad wanną – nie było to zdjęcie nikogo z rodziny ani ze znajomych rodziców. Nie zamierzam się jednak o to dopytywać, żeby się nie zdradzić.

Odkąd pamiętam, poza świetną pamięcią miałem również niezwykle rozwinięte zdolności analitycznego myślenia i przetwarzania informacji – na tyle, żeby prędko pojąć, iż nie powinienem się z nimi zbytnio

afiszować. Kiedy miałem pięć lat, rodzice, którzy, naturalnie, głupi nie byli i zdawali sobie sprawę, że mają uzdolnione dziecko, wysłali mnie na serię bardzo długich, nudnych i monotonnych badań, żeby sprawdzić, jak duże były te uzdolnienia. Postanowiłem wtedy celowo nie ujawniać potęgi, która we mnie drzemie, bo gdyby dowiedzieli się całej prawdy, testom nie byłoby końca, a ja, jak każdy pięciolatek, zwyczajnie lubiłem pobawić się w piaskownicy czy pooglądać bajki w telewizji. Aby mi tego nie zabrano, oszukiwałem podczas niektórych testów. W rezultacie moim rodzicom powiedziano, że mają zdrowego i utalentowanego synka, który z pewnością będzie piątkowym uczniem, ale nikt się nawet nie zająknął o jakichś superodchylach ponad przeciętną. Taka diagnoza niezmiernie ich ucieszyła. Mnie natomiast rozradował fakt, iż wypuścili mnie na wolność i mogłem wrócić do domu, by pobawić się z Weroniką – moją trzyletnią siostrzyczką. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, czy postąpiłem słusznie, ale po dwóch latach przekonałem się, że miałem szczęście i podjąłem dobrą decyzję.

W wieku siedmiu lat poszedłem do szkoły. Jedną osobą z mojej klasy wyróżniała się zdecydowanie ponad resztę dzieci. Był to niespełna sześciolatek chłopaczek o imieniu Maciek. Szybko zorientowałem się, że jego również cechuje bardzo dobra pamięć, i od samego początku bacznie mu się przyglądałem. Kiedy po kilku dniach nasza wychowawczyni odkryła, że Maciek potrafi już dobrze czytać i pisać, poprosiła

go, aby przyprowadził do szkoły rodziców. Skończyło się na tym, że przeniesiono go do drugiej klasy, i wtedy zaczęły się problemy. Mówiąc w skrócie, jego starsi „koledzy” przez czystą zazdrość zaczęli mu dokuczać, a ponieważ był od nich mniejszy, nie potrafił się bronić. Wiele razy widywałem go na przerwach, łkającego gdzieś po kątach. Nauczyciele i rodzice, zadowoleni z jego świetnych wyników w nauce, przez długi czas nie widzieli problemów malucha, a kiedy je dostrzegli, było już za późno. Chłopiec popadł w coś na kształt depresji. Musiało to być dość poważne, gdyż po tym, jak opuścił mury szkoły po zakończeniu pierwszego semestru, nie widziałem go już nigdy więcej. W tym czasie ja udawałem, że uczę się literek, bawiłem się i psociłem jak wszystkie inne dzieciaki. Miałem bardzo dobre oceny, bo chciałem, aby rodzice byli zadowoleni, ale w dalszym ciągu nie wychylałem się i ukrywałem swoje nadnaturalne umiejętności. Przykład Maćka zapadł mi głęboko w pamięć. W domu, kiedy nikt nie patrzył, sięgałem jednak po dorosłe książki z półek rodziców i zaczytywałem się w nich przez długie godziny.

W rezultacie wyrosłem na raczej normalnego dziewiętnastolatka. Nie zostałem nigdy niczym królikiem doświadczalnym i nie stałem się jednym z tych młodych geniuszów prowadzących wykłady na Oksfordzie. Ludzie byli dla mnie zawsze dużo ważniejsi niż osiągnięcia w nauce. Miałem wielu bardzo dobrych znajomych, kilku naprawdę oddanych przyjaciół, a od dwóch lat – fantastyczną dziewczynę. Moja znakomita

pamięć i motorek w głowie, pracujący non stop na najwyższych obrotach, często przydawały się w życiu, ale nigdy nie pozwoliłem sobie uważać się za lepszego od innych.

\*

Sobota, piętnastego marca dwa tysiące czternastego roku – dzień, w którym coś z moją pamięcią zaczęło szwankować – zapowiadał się jak każdy inny. Z samego rana pojechałem na uczelnię. Studiowałem informatykę na Politechnice dopiero od lekko ponad pół roku, a już zdążyłem pokochać to miejsce i zapisać się na dodatkowe zajęcia. Mimo iż w nocy posiedziałem trochę za długo przy komputerze, przez co ziewałem niemiłosiernie podczas laboratoriów, cieszyłem się, że udało mi się wygrzmolić z łóżka, bo zajęcia okazały się naprawdę ciekawe.

O godzinie dwunastej zacząłem weekend i pojechałem na SGH po Monikę – moją dziewczynę. Ona również zapisała się do jakiegoś kółka i chodziła na uczelnię w sobotę rano. Jej zajęcia kończyły się zawsze niedługo po moich i często o tej porze odbierałem ją sprzed szkoły, a następnie wracaliśmy spacerkiem do jej mieszkania przy Rakowieckiej. Tego dnia wyglądała zjawiskowo! Jak tylko zauważyłem ją w tłumie przed budynkiem, serce zabiło mi mocniej. Na jej buzi gościł promienny uśmiech od ucha do ucha, a prócz niego uwagę przykuwał wspaniały makijaż. Zazwyczaj chodziła nieumalowana, tymczasem teraz jej powieki

mieniły się feerią barw. No dobrze, przesadzam – były to raptem jakieś dwa odcienie niebieskiego, ale ich mieszanka robiła niesamowite wrażenie w połączeniu z jej błękitnymi tęczówkami, szczególnie że zajęła się również rzęsami, które dzięki kilku pociągnięciom tuszem wydawały się dłuższe i optycznie powiększały oczy. Jej usta błyszczały ponętnie, zapewne od którejś z bezbarwnych, smakowych pomadek, których cała sterta wałała się zawsze w jej torebce. Uwielbiała te małe cudenka. Ja zresztą też, bo dodawały ciekawych smaczków podczas całowania. Policzki miała ładnie zaróżowione i podejrzewałem, że akurat do uzyskania tego efektu nie potrzebowała używać żadnego kosmetyku. Nie starała się również ukrywać pod podkładem tych kilkunastu piegów okalających drobny, zadarty nosek, i chwalała jej za to, bo dodawały jej twarzy niesamowitego uroku. Swoje długie, ciemnoblond włosy, które zazwyczaj związywała gumką lub upinała, miała rozpuszczone i w pozornym nieładzie, ale dało się zauważyć, że kilka kosmyków, które opadało na oczy, znalazło się tam nieprzypadkowo. Pomimo faktu, że kalendarzowo mieliśmy jeszcze końcówkę zimy, niebo było bezchmurne, a słońce dawało dużo ciepła, toteż niespecjalnie zdziwiłem się, że Monika założyła na uczelnię sukienkę. Ale co to była za kiecka! Widziałem ją pierwszy raz. Siegała do kolan, przez co można było popatrzeć na zgrabne łydki i pozachwycać się nimi. Była cała czarna, a materiał ściśle przylegał do ciała, dzięki czemu można było rozkoszować się zarysem

jej seksownych krągłości. Poza tym lekko odsłaniała biust, toteż można, a nawet trzeba było porozglądać się wkoło i sprawdzić, czy któremuś studenciakowi nie należy dać przypadkiem w nos za nadmierne wpatrywanie się tam gdzie nie trzeba. Wisienką na torcie były buty – czarne czółenka na niewysokim obcasie, zwieńczone spiczastym czubkiem. Tej części garderoby Moniki również nie było mi dane wcześniej oglądać.

– Co się tak gapisz, głupku? – uśmiechnęła się filuternie. – Bierz mnie pod rękę i idziemy do mnie świętować.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Podałem jej ramię i ruszyliśmy: ona – piękność z bajki, i ja – chłopaczek w spranych dżinsach i powyciąganej bluzie z kapturem.

– Co właściwie będziemy świętować? – zapytałem.

– Nic konkretnego – zaśmiała się. – Po prostu naszła mnie ochota zrobić niespodziankę mojemu mężczyźnie.

Stała na chwilę, przytuliła się do mnie i delikatnie pocałowała. Pachniała jakimś zupełnie nowym zapachem, który miło pieścił nozdrza i wręcz krzyczał, że ten dzień będzie absolutnie niepodobny do poprzednich.

Gdy dotarliśmy do mieszkania Moniki, już na wejściu kazała mi iść do łazienki i wziąć prysznic. Spojrzałem na nią jak na potłuczoną, ale miała zdeterminowaną

minę, więc po prostu jej posłuchałem. Niewiele myślałem, gdy woda opłukiwała moje ciało, bo dziesiątki myśli, które samoistnie przechodzą przez mózg, ciężko nazwać myśleniem. Od początku wiedziałem jednak, do czego to wszystko zmierza. Nie mieściło mi się tylko w bani, że wydarzy się to właśnie tu i teraz, w ciągu kilku najbliższych godzin. Często o tym dumałem – w końcu chodziliśmy ze sobą już ponad dwa lata. Unikałem jednak tego tematu, podświadomie wiedząc, że ona nie jest jeszcze gotowa. Przelatywała mi właśnie przez głowę myśl, że może za bardzo się nakręcąm i wcale nie chodzi o to, co mi się wydaje, kiedy usłyszałem dobiegający zza drzwi głos.

– Nie utopiłeś mi się tam, robaku?

Okropnie się speszyłem i wydukałem jedynie, że zaraz wychodzę.

Kiedy wyszedłem z łazienki, zauważyłem pewne zmiany. Przede wszystkim w mieszkaniu było ciemno. Monika pozasłaniała okna, ale, żeby nie pogubić się w mroku, zapaliła kilka świeczek. Czułem się trochę głupio, stojąc tak w samym ręczniku i patrząc, jak ona w swojej kiece czarnulce siada przy stole i zaczyna nalewać wino do kieliszków. Spojrzałem na jej nogi, które wciąż tkwiły obute w seksowne czółenka, i poczułem niesamowity przypływ pożądania. Żeby ukryć pewną niezręczność, która chciała czym prędzej wydostać się spod ręcznika, po prostu usiadłem na przygotowanym dla mnie krześle i sięgnąłem po kieliszek.

– Za nas, kochanie! – Podniosła swoje wino i upiła łyczek. – I mogłeś założyć szlafrok, który ci przyszykowałam, a nie tak mi paradujesz półnagi!

Och, jak ona się ze mną droczyła. Nie poznawałem tej dziewczyny. Mimo całego skrępowania, które właśnie odczuwałem, zaczynałem być coraz bardziej podniecony. Kątem oka dostrzegłem, że na łóżku Moniki, zwykle przykrytym kocem w beżowo-brązowe wzorki, leżała nowa pościel – biała z fioletowymi elementami kwiatowymi.

– Mogę po niego wrócić, jeśli sobie tego życzysz.

– Nie ma potrzeby.

Uśmiechnęła się zalotnie, po czym wstała, podeszła do mnie i usiadła mi na kolanach. Musiała poczuć moją erekcję – w tej sytuacji trudno było ją ukryć. Pocałowaliśmy się. Trwało to tylko chwilę, gdyż postanowiłem w końcu przejąć inicjatywę. Wydawało mi się, że tego właśnie oczekiwała. Wstałem z krzesła, biorąc Monikę na rękę. Położyłem ją na łóżku i wróciłem do stołu po kieliszki. Podałem jej jeden, a następnie kilkoma szybkimi haustami opróżniłem zawartość drugiego. Wino było czerwone, wytrawne, średnio ciężkie i pozostawiające po sobie posmak czarnej porzeczki. Nie zachwyciłem się nim jednak zbyt długo, bo gdy spojrzałem na dziewczynę po raz kolejny, nie chciałem już odwracać wzroku. Płynnym ruchem zrzuciła buty na podłogę, po czym wgramoliła się w górę łóżka, spoglądając na mnie zapraszająco. Nie musiała długo czekać.

O mój Boże! – tak można w trzech słowach streścić to, co przeżyłem przez kilka ostatnich godzin. Wracając do domu, co siedem sekund powtarzałem w myślach te słowa, a japa szczyrzyła mi się od ucha do ucha.

– Uważaj! – wyrwał mnie z tych rozmyślań czyjś krzyk.

– Co...?

Nie zdążyłem dokończyć pytania, gdyż usłyszałem wielki huk i w mgnieniu oka coś uderzyło we mnie z ogromną siłą.

Dziwna sprawa. Znalazłem się nagle w jakimś ciemnym pomieszczeniu. W rogu stało łóżko, a na nim siedziała Monika. Miała przestraszoną minę. Patrzyła się na mnie ze łzami w oczach, kiwała leciutko głową i mamrotała coś pod nosem. Zza ścian dobiegał wciąż ten uporczywy krzyk, żebym uważał. Mój wzrok przykuł wysoki kwiat stojący w doniczce tuż obok łóżka. Nagle roślina po prostu zaczęła rozpyływać się w powietrzu. Powinno mnie to zaniepokoić albo chociaż zdziwić, ale siedziałem tylko i przyglądałem się, jak kwiat zamienia się w jakieś krzaki. W pokoju zrobiło się nagle dość jasno, a kiedy zorientowałem się, że to wcale nie pokój, a skrzyżowanie Rakowieckiej z Wiśniową, zobaczyłem go. Ciemnozielony lanos z kilkoma rysami na lakierze i lekko obtłuczonym prawym reflektorem pędził wprost na mnie, a ja, zamiast uciekać, przyglądałem się osobie za przednią szybą. Był to mężczyzna, na oko jakieś czterdzieści pięć lat, z bujną czupryną

ciemnych włosów. Określenie dokładnego ich koloru sprawiło mi kłopot na skutek odbłasków słońca w szybie, ale równie dobrze powodem tego mógł być fakt, że właśnie leciałem w powietrzu, jakieś trzydzieści centymetrów ponad ulicą. Pomyślałem, że to ten samochód musiał mnie potrącić, lecz było to niedorzeczne, ponieważ nie czułem żadnego bólu. Na wszelki wypadek skupiłem jednak swoją uwagę na numerach rejestracyjnych wozu – WWY 3290.

Nagle auto znikło, a w jego miejsce pojawiło się łóżko Moniki. Upadłem na nie bardzo delikatnie – tak, że praktycznie nic nie poczułem. Ona zmaterializowała się tuż obok. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, zaczęła mnie namiętnie całować. Poczułem przyływ pożądania, ale jej usta, które zeszyły właśnie po szyi na mój tors, wcale nie napełniały mnie pozytywnymi emocjami. Zdziwiłem się, bo zanotowałem, że jestem cały nagi. Jej język zaczął zataczać kółeczka wokół mojego pępka i wtedy ktoś krzyknął: „Uważaj!”. Zaraz po tym usłyszałem pisk opon i wycie silnika. Chciałem obejrzeć się w stronę tych dźwięków, ale poczułem, że Monika usiadła na mnie okrakiem i nie mogłem nawet drgnąć. Zaczęła się rytmicznie poruszać, kręcąc biodrami, i nie mam pojęcia czemu, ale dopiero po jakichś dwudziestu sekundach zorientowałem się, że właśnie uprawiamy seks. Przeszło mi przez myśl, że muszę być niezłe narąbany, skoro nie czuję, że w niej jestem, lub ona wcale nie jest dziewicą i przez cały ten czas oszukiwała mnie. Chciałem zrzucić ją z siebie i wyjaśnić to,

ale nie zdążyłem, bo znikła, a ja znów na chwilę zawiśłem w powietrzu z głową niebezpiecznie zbliżoną do jezdni. Zanim w nią uderzyła, zorientowałem się, że na szczęście kołdra z łóżka spadła na ulicę i ucieszyłem się na myśl o miękkim lądowaniu. Przelotnie spojrzałem na oddalającego się lanosa i wtedy ogarnąłem, że przecież nowa pościel Moniki jest biała w fioletowe kwiatki, a nie tak ohydnie rdzawoczerwona jak to coś, na co właśnie upadłem. Dotarło do mnie w końcu, że to krew, ale nie zdążyłem nawet się przestraszyć, bo nagle zapadłem się w całkowitą, pozbawioną jakichkolwiek dźwięków ciemność.

Zajął mi chwilę, żeby dojsć do siebie po tym, jak otworzyłem oczy. Przez kilkanaście sekund jedyne, co robiłem, to mruganie powiekami i przyzwyczajanie się do dość mocnego oświetlenia w pomieszczeniu, w którym się znajdowałem. Zorientowałem się, że leżę w szpitalnej sali, kiedy zobaczyłem otaczające mnie medyczne sprzęty i szarawe ściany, a także gdy poczułem dotkliwy ból z tyłu głowy, kiedy spróbowałem się nieco podnieść. Chwila pobieżnej analizy pomogła mi stwierdzić, że wydarzenia ostatnich minut były jedynie wytworem mojej podświadomości, która wrzuciła do jednego worka przeżycia związane z moją stratą cnoty oraz te dotyczące samochodu, który mnie potrafił. Rozbawiła mnie ta moja błyskotliwość i gdyby nie fakt, iż byłem totalnie osłabiony, z pewnością wybuchnąłbym śmiechem. Tymczasem wydałem z siebie jedynie coś

przypominającego odgłosy plotkujących gołębi. Nie minęło kilka sekund, a pojawiła się nade mną pielęgniarka.

– Obudziłeś się!

No cóż, widocznie nie ja jeden byłem dziś zdolny do błyskotliwych analiz. Kolejne śmiechogurglnięcie wydobyło się z mojej krtani.

– Nic nie mów, kochanie. – Delikatnie przejechała dłonią po mojej twarzy. – Minie trochę czasu, zanim odzyskasz siły. W końcu przeleżałeś tu bez ruchu prawie trzy tygodnie.

Od tej informacji zakręciło mi się w głowie i zobaczyłem mroczki przed oczami. Pielęgniarka była chyba dobra w swoim fachu, bo szybko zareagowała na ten stan rzeczy. Zarejestrowałem kątem oka, że zaaplikowała mi jakiś zastrzyk, a zanim znów pograżyłem się w ciemności, usłyszałem jeszcze, że wszystko jest w porządku i zaraz powiadomią moich rodziców, iż wreszcie się ocknąłem.

Znów dotknęło mnie to dziwne przeświadczenie, że coś jest nie tak. Znalazłem się na chodniku nieopodal mieszkania Moniki i koncentrowałem wzrok na kobiecie, która szła po drugiej stronie ulicy. Im była bliżej mnie, tym bardziej przypominała moją dziewczynę. Miała na sobie te same czarne czółenka, co ona dziś (trzy tygodnie temu?) po południu. Zapatrzyłem się przez chwilę na jej piersi, które były fantastycznie wyeksponowane przez dobrze skrojoną kieckę. Na

moje usta wstąpił mały uśmieszek, ale zaraz zniknął, gdy spojrzałem na jej twarz wykrzywającą się w niemym krzyku. Nie musiałem jednak nic słyszeć, bo ruch jej warg, pociągniętych bezbarwnym błyszczakiem, bezbłędnie wskazywał na słowo, które ostatnio coś często pojawiało się w moim życiu – „uważaj”. Kiedy zorientowałem się, że stoję na środku ulicy, a centymetry ode mnie znajduje się ciemnozielony lanos, który niechybnie zmierza na spotkanie z moją skromną osobą, było już za późno na jakikolwiek ruch. Gdy wzbilem się w powietrze, tknięty jakimś dziwnym przecuciem spojrzałem na prowadzącego pojazd. Był brunetem o bujnych, rozczochranych włosach, ale to nie kolor jego włosów przykuł moją uwagę. Prawdziwie zaniepokoiłem się, spojrzawszy w oczy kierowcy, które, ku memu zdziwieniu, ozdobił niebieskim cieniem. Kiedy po sekundzie wpadłem w rdzawoczerwoną pościel Moniki, siedziała tuż obok mnie i przyglądała mi się.

– Zrobimy to jeszcze raz? – zapytała.

Poczułem potężną erekcję i zapragnąłem wziąć ją tu i teraz, jak zwierzę. Nie odpowiedziałem jednak nic, gdyż nie byłem w stanie. Wydało mi się to dość zabawne, ale zaraz opanował mnie strach, kiedy zorientowałem się, że wcale nie leżałem w pokoju mojej dziewczyny, lecz na szpitalnym łóżku, i że pochylała się nade mną nie Monika, a blondwłosa pielęgniarka, która właśnie aplikowała mi jakiś zastrzyk.

– Paweł, kochanie – usłyszałem słodki kobiecy głos, gdy otworzyłem oczy – już wszystko w porządku. Jesteśmy tu z tobą.

Kiedy obraz trochę mi się wyostrzył, spostrzegłem pochylającą się nade mną mamę. Miała rozmazany makijaż – chyba niedawno płakała. Obok stał ojciec, zawsze poważny i stanowczy, a teraz rozdygotany kłębek nerwów.

– Co się stało? – wycharczałem.

– Miałeś wypadek. Potracił cię samochód. Ale już wszystko dobrze. Wreszcie się obudziłeś!

– Wreszcie? To znaczy, że ile czasu byłem nieprzytomny?

– Dokładnie dziewiętnaście dni, synku – pocałowała mnie w czoło.

Ta informacja z jednej strony bardzo mnie zdziwiła, ale z drugiej – chyba jakoś podświadomie byłem na nią przygotowany.

– Złamałeś rękę, ale już się pięknie zrasta. Trochę się poobijałeś. Zasadniczo wszystko z tobą w porządku.

– Tyle że przeleżałem trzy tygodnie nieprzytomny.

– No właśnie.

– A co z tym gościem, który mnie potracił? – zapytałem po krótkiej przerwie.

– Spieprzył gnój z miejsca wypadku – wtrącił się tata. – Nie odnaleźli go.

– Marek, nie wyrażaj się – skarciła go mama.

– A nie było żadnych świadków? Pamiętam jakąś kobietę.

– Owszem – potwierdziła mama – jedna dziewczyna widziała całe zdarzenie, ale z zaskoczenia i szoku, jaki przeżyła, nie zapamiętała za wiele. Zeznała na policji, że byłeś nad czymś bardzo głęboko zamyślony i wszedłeś na przejście na czerwonym świetle, a właściwie to jeszcze na migającym zielonym. Ten wariat w lanosie gnał ponoć ze sto na godzinę, jak nie więcej!

– Ciemnozielony lanos?

– Słucham?

– Pytam o kolor samochodu. Czy był ciemnozielony?

– Nie wiadomo. Dziewczyna rozpoznała jedynie markę wozu i stwierdziła, że miał ciemny lakier. Przy takiej prędkości to i tak dużo. – Zrobiła pauzę. – A właściwie to czemu pytasz?

– Wydaje mi się, że pamiętam co nieco z tego wypadku.

– Nie wygłupiaj się, synku – mama zmarszczyła brwi. – Przecież to były ułamki sekund.

– Pamiętam, że potrącił mnie ciemnozielony lanos o numerach rejestracyjnych WWY 3290. Kierowcą był na oko czterdziestoparoletni facet o bujnych włosach, brunet – wyrecytowałem.

Wybałuszyła oczy i spojrzała z konsternacją na ojca. Ten, nawet nie mrugnawszy, wyjął z kieszeni notesik i długopis, po czym skrupulatnie zapisał wszystkie informacje, które przed chwilą ujawniłem.

– Pójdę jutro z tymi numerami do wujka Krzyśka – powiedział. – Sprawdzić nie zaszkodzi.

– Dzięki, tato.

Rodzice posiedzieli jeszcze u mnie z pół godziny, zanim pojawił się doktor i grzecznie wyprosił ich z sali. Musiano mi zrobić jakieś badania. Przez ten czas mama opowiedziała, jak Monika strasznie przeżywa mój wypadek. Przez pierwsze dwa tygodnie przesiadywała u mnie ponoć od rana aż do momentu, gdy kończył się czas odwiedzin pacjentów. Nie pojawiała się w ogóle na uczelni, ale teraz musiała wrócić na trochę do rzeczywistości, jako że zbliżał się termin pierwszych kolokwiów. Mama obiecała, że czym prędzej do niej zadzwoni i przekaże świetną nowinę o moim przebudzeniu. Cieszyłem się, że już niedługo znów ją zobaczę, choć w moim odczuciu widzieliśmy się zaledwie kilkadziesiąt minut temu.

Następnego dnia leżałem sobie właśnie w szpitalnym łóżku, licząc po raz siódmy kafelki na ścianach, kiedy usłyszałem ciche pukanie. Po chwili drzwi uchyliły się i do sali, w której przebywałem, weszła Monika. Uśmiechnąłem się do niej trochę niepewnie, w zamian otrzymując piękny uśmiech od ucha do ucha oraz kilka małych łezek szczęścia w kącikach jej oczu.

– Głupku ty mój – powiedziała łamiącym się głosem.

– Ciebie też miło widzieć, kochanie – odpowiedziałem nonszalancko i puściłem oczko w jej stronę.

Roześmiała się, po czym podeszła czym prędzej do łóżka, a następnie przytrzymując delikatnie mój policzek cudowną, gładziutką dłonią, pocałowała mnie

tak, jakbym właśnie wrócił z jakiejś cholernie długiej podróży. No cóż, właściwie to pewnie właśnie tak to odczuwała.

– Mów, co słyhać, piękna. Jak tam kolosy? Słyszałem, że trochę zaniedbałaś naukę przez swojego niesforne go chłopca.

– Daj spokój, Paweł! Umierałam tu, martwiąc się o ciebie, kiedy ty sobie smacznie spałeś! Jak niby miałam myśleć o nauce?

– No tak, przepraszam. To był naprawdę długi i twardy sen. Ale tak serio, to ogarnęłaś wszystko?

– Prawie – zarumieniła się. – Mam jedno koło w plecy, ale będzie poprawa.

– No to gitara. Jak mi mama powiedziała wczoraj, że siedziałaś u mnie dzień i noc, nic nie jedząc i nie pijąc, pomyślałem, że te moje wyścigi z lanosem narozrabiały więcej, niż powinny.

– Och, głupku ty!

Znów mnie pocałowała. Poczulem szybki przyptyw krwi tam na dole i zachciało mi się śmiać. Właściwie to całe to moje posiedzenie w szpitalu nie miałyby miejsca, gdyby nie nasze miłostki.

– Widzę, że nie tylko ty obudziłeś się z zimowego snu – spojrzała wymownie w stronę małego namiociku, który pojawił się na kołdrze w okolicach środka łóżka.

– Wracam do zdrowia, młoda damo!

Faktycznie, dość szybko zacząłem wracać do siebie. Po kilku dniach mogłem już zaprosić dziewczynę na

romantyczny spacer (po szpitalu) i na romantyczny film (puszczony na laptopie, który dostarczyła mi mama). Dokuczał mi trochę gips na ręce, ale miano mi go zdjąć lada dzień. Prócz tej małej niedogodności czułem się jednak znakomicie. Lekarz oznajmił, że jeszcze cztery do pięciu dni posiedzę na obserwacji, po czym będę mógł wreszcie wrócić do domu.

To tyle, jeśli chodzi o moje obrażenia fizyczne. Niepokoiłem się jednak o psychikę. Każdej nocy od momentu powrotu do świata żywych miałem koszmary. Najgorsze było to, że nie śniły mi się żadne potwory, morderstwa, spadanie z wysokiego budynku czy inne bzdury, które potrafią sprawić, że budzisz się zlany zimnym potem, cały dygocząc ze strachu i bojąc się ponownie zamknąć oczy. Przedmiotem moich nocnych mar były wspomnienia z mojego życia – wszystkie te, których wolałem nie pamiętać. Raz były to głupiotki, wstydlive wydarzenia, takie jak wtedy, gdy w czwartej klasie podstawówki przyszedłem do szkoły spóźniony, po czym okazało się, że nie zmieniłem bluzy od pizamy. Innym razem natomiast śniłem o tym, co smutnego spotkało mnie w życiu, jak choćby śmierć babci Łucji trzy lata temu. Najbardziej niepokojący sen dotyczył jednak dość świeżych zdarzeń.

Usłyszałem dźwięk swojej komory. Wstałem szybko z kibelka, odkładając na pralkę na wprost skończoną krzyżówkę, i czym prędzej pognałem do pokoju, aby odebrać.

– Siema, robisz coś dziś wieczorem? – Dzwonił Andrzej – mój kumpel z licealnej ławki.

– No cześć – szybko zastanowiłem się, czy nie mam jakichś planów. – W sumie to nie, a co jest?

– Mój kumpel Maciek robi dzisiaj domówkę. Większa impreza, bo chłopak ma naprawdę niezłą chatę. Mógłbyś wziąć Moniczkę i wbić się tam ze mną i Iwoną.

– Monika raczej odpada. Wzięła się ostatnio ostro za naukę, bo ma jakieś braki, a jak ona siądzie do książek, to nawet o jedzeniu zapomni, dopóki nie skończy wkuwać wszystkiego, co zaplanowała.

– No a sam byś nie wpadł?

– Spoko. A gdzie to?

– Na Kabatach.

– O której?

– Możemy wbić najpierw do mnie o szóstej na biforka, na kilka piwek, a potem zgarniemy Iwonkę i pojedziemy razem do Maćka.

– Brzmi super. – Spojrzałem na zegarek. – Będę u ciebie za dwie godziny.

– Dobra, to strzała.

– No, dozo.

Rozłączyłem się, ale zanim odłożyłem telefon, napisałem jeszcze szybkiego esemesa do Moniki, że lecę dziś z Andrzejem na imprezę i czy by nie dołączyła. Tak jak się spodziewałem, odpisała, że na pewno znam odpowiedź i że bym bawił się dobrze.

Ani się obejrzałem, a siedziałem już u kumpla i przeglądając wspólnie jakieś głupie filmiki w Internecie,

wlewałem w siebie jedno piwo za drugim. Kiedy każdy był już po trzech, opuściliśmy mieszkanie Andrzeja i poszliśmy do nocnego po jakiś większy kaliber na imprezę. Po drodze na Kabaty zajechaliliśmy po jego dziewczynę i kilka minut po dwudziestej byliśmy już w trójkę w wielgachnym holu domu Maćka.

Jeszcze zanim otworzył nam drzwi wejściowe, słychać było, że biba toczy się na całego. Muzyka grała tak głośno, że ledwo dosłyszeliśmy „Siema, co tam?” gospodarza. Gdy znaleźliśmy się w środku domu, przywitała nas płatanina butów porozrzucanych niedbale po wszystkich kątach. Postanowiliśmy nie zdejmować naszych, bo nie było już miejsca.

Nie znałem tu praktycznie nikogo. Maciek nie był naszym wspólnym znajomym. Andrzej zakolegował się z nim na treningach kosza, na które chodził od początku liceum do jakiegoś podrzędnego klubiku. Nie minęło jednak pół godziny, a ja byłem już po którejś z rzędu kolejce i wszelkie bariery znikły. Czułem się całkowicie jak swój.

W którymś momencie straciłem kumpla z oczu. Obstawiałem, że poszedł z ukochaną na pięterko trochę pobaraszkować. Miejsca na takie igraszki było tu naprawdę pod dostatkiem – chałupa była ogromna. Pomyślałem, że trochę mu w tym momencie zazdroszczę. Sam chętnie porobiłbym co nieco z Moniką. Musiałem się jednak zadowolić siedzeniem przy stole z obcymi facetami, chlaniem wódki, rozmowami o fatalnych występach polskiej reprezentacji piłki

nożnej i głupekowatym dowcipkowaniu ze wszystkiego dookoła.

Ktoś zapalił jointa i po chwili znalazł się on w mojej dłoni. Próbowiałem tego kilka razy wcześniej, ale jakoś nigdy nie zająłem się na dobre paleniem. Chciałem odmówić i podać skręta dalej, ale w sumie było mi wszystko jedno, więc wziąłem jednego buszka. Nieprzyzwyczajone do takich atrakcji gardło i płuca dały o sobie znać poprzez krótki kaszel, co dało moim towarzyszom powód do kolejnej salwy śmiechu, ale zamiast się tym przejąć, sam zacząłem się chichrać. Po pierwszym buchu zaraz przyszedł czas na drugi i trzeci, a po kilku minutach siedziałem już gdzieś pod ścianą, pochłonięty wielce interesującą dyskusją z gościem, którego imienia nawet nie znałem. Konwersację co chwila przerywały nam niekontrolowane ataki śmiechu. W pewnym momencie po prostu nie mogłem zdjąć uśmiechu z ust i to sprawiało, że chciało mi się rechotać jeszcze bardziej.

Do mojego kumpla spod ściany podszedł nagle jakiś koleś i coś mu dał. Ten włożył to do ust i połknął.

– Też chcesz? – zapytał, widząc, że się nań głupekowato patrzę.

– A co to?

– Nie wiem – wybuchnął śmiechem.

– No to dawaj. – Chłopak podał mi jakąś małą, śmieszoną pigułkę, która już po chwili leciała do mojego żołądka.